

Związani młodością i walką

Niektórzy mieli po 15—16 lat. Prawie dzieciuchy. Ale to, co działo się dokoła, wydrębało ich nad wiek, przydawało ostrości spojrzenia. Rozpasany terror okupanta z początkiem 1943 roku sięgał zenitu. Reakcja mogła być tylko jedna — walka. Aresztowania wśród najbliższych, głód i upokorzenia rodziły uczucie buntu. Niektórzy mieli kontakty z członkami działających jeszcze przed wojną lewicowych organizacji młodzieżowych, inni spotykali się samorzutnie, planowali na własną rękę akcje odwetowe.

Jak pokierować młodzieżą? Jak ukształtować jej charakter? — Problem ten z inicjatywy Hanki Sawickiej poruszono w Komitecie Warszawskim PPR w grudniu 1942 roku. Wkrótce powstało koło instruktorskie, zastępujące zarząd, zaczęły powstawać koła organizacji, która przyjął miała nazwę Związek Walki Młodych. W lutym 1943 roku wyszedł z tajnej drukarni pierwszy numer jej organu — „Walka Młodych”.

Każde zebranie koła w latach okupacji miało swój niepowtarzalny klimat. Chłopcy i dziewczęta stanowili zwartą grupę bojową. Koło było również sekcją wojkową. Poznawanie prawideł walki podziemnej, tej z bronią lub gazetką w rękę, omawianie aktualnej sytuacji na froncie, stanowiło tylko część zajęć. Druga, zwana popularnie oświatówką, wypełniała niekończące się dyskusje nad przyszłym ustrojem Polski, nad przeczytaną książką o problematyce ekonomicznej, politycznej lub społecznej. Młodzież, pozbawiona możliwości nauki, tutaj poznawała dzieje swego kraju, jego literaturę. Nieraz po godzinie policyjnej, gdy pod oknami dudniły kroki przechodzą-

cego patrolu, w pokoiku przy karbidówce albo lampce naftowej recytowano z pamięci Broniewskiego, Szymańskiego, Mickiewicza. Półgłosem nucono partyzanckie piosenki. Ogromną popularnością cieszył się Marsz GL, zaczynający się od słów „My ze spalonych wsi, z głodujących miast”...

Jałowa i wyczerpująca praca w niemieckich fabrykach, na budowach, a potem, zgodnie z rozkazem, spotkania na „podpunkcie”, przenoszenie niewinnie wyglądającej paczki na drugi koniec miasta, rozrzucanie gazetek w tłumie wychodzących z kina czy rozlepianie na murach pamiętnych napisów — „Śmierć okupantom — cześć partyzantom”, wypełniały ZWM-owcom dni między zbiórkami. Bardziej zaawansowani w robocie spędzali nocę nad kasztą drukarską lub planem kolejnej akcji, której słowo zastępował granat, pistolet i ładunek wybuchowy. Nie zawsze spotykano się na

W dwudziestolecie powstania ZWM

zbiórkach w poprzednim składzie. ZWM-owcy ginęli jak żołnierze.

Koszmarne codziennosc, która pozbawiła młodzież przywilejów młodości, nie odebrała jej ufnosci w zwycięstwo słusznej sprawy, ani pomysłowości i fantazji. Jeśli przyszło narażać swe życie, czynili to bez sztucznego patosu i koturnowych gestów. Zresztą bez odrobiny młodzieńczej fantazji nie do pomyślenia byłoby sukcesy całej konspiracyjnej pracy. Długo wspominało na przykład „paradę” sił zbrojnych ZWM na Pradze. Zorganizował ją „Zawi-

POGLĄDY POLEMIKI POSTULATY

tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 69

Poznań, 3 II 1963

Rok III

sza”. W pewną niedzielę przed kościołem na Bródnie przedefilowali przed swym dowódcą członkowie GL i ZWM! Aż trudno dziś uwierzyć, że redakcja „Walki Młodych” przez pewien czas mieściła się... na dachu kamienicy przy placu Wilsona na Żoliborzu.

Oddzielną, pełną bohaterstwa i tragizmu, kartę dziejów swej organizacji zapisali własną krwią członkowie ZWM walczący w Batalionie „Czwartaków” w czasie Powstania Warszawskiego.

W twardej szkole konspiracji wyrosli ludzie o skryzalizowanym światopoglądzie. Te walory wraz z

Słowa nie pozostały na papierze. Wszędzie — w Warszawie i Poznaniu, na Śląsku i Pomorzu — gdzie trzeba było zaczynać od fundamentów, nie brakło młodych z ZWM. Wraz z milicją zabezpieczali mienie państwowe, przygotowywali budynki szkolne. Wszyscy, którzy nie przywdziali mundurów, znaleźli się na wielkim froncie odbudowy. Choć umilkły odgłosy frontowe, choć wartość życia nabrała właściwej ceny, około 2 tys. młodych ludzi z szeregów ZWM padło od kul reakcyjnego podziemia. ZWM-owcy pokazali co potrafili choćby w wielkim „Wyścigu Pracy”, zainicjowanym przez organizację łódzką, który szybko objął kopalnie i huty Śląska. Wzięli się też ZWM-owcy do nauki, nadrabiając wojenne opóźnienia. Dla tysięcy rzesz otworzyli niedostępne przedtem mury wyższych uczelni. W Kongresie Zjednoczeniowym w lipcu 1948 r. wzięło udział 960 delegatów reprezentujących najsilniejszą i największą organizację młodzieżową w Polsce. ZWM liczył wówczas 330 tys. członków.

Dziś owi chłopcy, którzy wysadzali szyny i zdobywali na Niemcach pistolety, ówczesne dziewczęta zrezygnowały z ułotki i broni — założyli rodziny, mają własne dzieci. Po tych, którzy zginęli, przetrwała pamięć.

Doc. dr Władysław Markiewicz

Uniwersytet im. A. Mickiewicza
w Poznaniu

NAUKA WOBEC UPRZEMYSŁOWIENIA WIELKOPOLSKI

Buława dyrektora i awanse

Dzisiaj drukujemy wypowiedź doc. dr. Władysława Markiewicza na temat społecznych konsekwencji uprzemysłowienia Wielkopolski. W poprzednich artykułach tego cyklu naukowcy poruszali zagadnienia rozwoju przemysłu (prof. dr Cz. Łuczak) i przebudowy struktury gospodarczej Poznania (Florian Barciński i dr Bohdan Gruchman), dzisiejszy zaś stanowi punkt widzenia socjologa, który przeprowadzał badania naukowe w okręgu konińskim (tytuł artykułu pochodzi od redakcji).

Przed trzema laty poznański ośrodek socjologiczny podjął badania terenowe nad społecznymi procesami uprzemysłowienia w rejonie konińskim. Badania te odświeżyły prawdę o tym, że jest to dziedzina wymykająca się niemal całkowicie perspektywicznemu planowaniu.

Dzięki inwestycjom zaplanowanym na najbliższe lata zatrudnienie przemysłowe wzrosło w Wielkopolsce o 244.500 osób i w większości powiatów przemysł osiągnie w niektórych przypadkach jeszcze stosunkowo nieznaczną, ale za to w innych — bardzo wyraźną przewagę nad rolnictwem. Już to samo stawia na porządku dziennym problem nie tylko doniosłości społecznej, tj. przysposobienie ogromnej rzeszy ludności, związanej na razie z warunkami życia i pracy na wsi, do działalności produkcyjnej i społecznej w systemie industrialnym.

Fakt, że w rejonie Konina zadania w zakresie inwestycji i bieżącej produkcji były dotychczas w zasadzie pomyślnie wykonywane, mimo że poważna część załóg tamtejszych zakładów rekrutuje się spośród tzw. chłopów-robotników, nie posiadających często elementarnego wykształcenia ogólnego i fachowego — nie powinien nas uspokajać.

Nie należy — po pierwsze zapominać o tym, iż szybki rozwój kopalni i elektrowni konińskiej stał się możliwy dzięki importowi spozna terenu powiatu i województwa wykwalifikowanych pracowników

wyższego i średniego doboru. Możliwości sprowadzenia specjalistów z innych dzielnic kraju będą stopniowo malejące, gdyż inne województwa również od czuwają, nieraz nawet dotkliwiej aniżeli Poznańskie, deficyt kadr przemysłowych z wyższym i średnim wykształceniem.

Po drugie, doświadczenia konińskie dostarczają niemało przykładów świadczących o tym, że osiągnięte efekty inwestycyjne i produkcyjne mogłyby być znacznie wyższe, gdyby zakłady pracy dysponowały na miejscu narybkiem łatwo przyswajającym sobie sposoby zachowania odpowiednie do wymogów nowoczesnych zakładów pracy i nowoczesnych dzielnic mieszkaniowych.

Z pewnym zażenowaniem chciałbym wykrzusić oklepą, ale w praktyce nierzadko ignorowaną sentencję: o wszystkim zadecyduje człowiek i stopień jego przygotowania do spełnienia określonych zadań. Problem człowieka w erze rewolucji przemysłowej, to cały kompleks zagadnień.

Chciałbym zatrzymać się tylko nad jedną z tych kategorii pracowników, które odgrywają rolę w życiu gospodarczym i społecznym — nad kategorią dyrektorów przedsiębiorstw. Do r. 1956 stanowisko dyrektora należało do najmniej stabilnych w zakładzie pracy. Na przykład w kopalni „Konin” stanowisko to było do roku 1958 kolejno zajmowane przez 14 osób. W związku z tym prestiż społeczny dyrektora w oczach opinii publicznej przedstawiał się dość mizernie. W zasadzie nie traktuje się funkcji dyrektora jako zawodu, który wymaga specjalistycznego przygotowania technicz-

no-ekonomicznego i umiejętności organizowania współzycia międzyludzkiego. Nie wykrywał się u nas jeszcze wzorzec społeczny dyrektora.

Do 1980 roku powstać ma w Wielkopolsce około 200 większych nowych fabryk, zatrudniających średnio po 500 pracowników. Jak te fabryki będą funkcjonować, zależeć będzie w decydującej mierze od ich kierowników. Jaka jest gwarancja, że we właściwym czasie pojawią się w dostatecznej liczbie odpowiedni kandydaci na dyrektorskie stanowiska, skoro aktualnie każda zmiana personalna na tym szczeblu sprawia nam tyle kłopotu?

Nie opowiadam się bynajmniej za tworzeniem specjalnych — przepraszam za wyrażenie — hodowli dyrektorów. Podobne zamysły kończyły się bowiem z reguły fiaskiem. Chodzi natomiast o prowadzenie racjonalnej polityki, w ramach której żadnego pracownika inżyniera czy ekonomisty nie pozbawiono by nadziei, że nosi buławę dyrektorską w tornistrze, a jednocześnie wsłusznym wyróżniającym się uzdolnieniami oraz przymiotami moralnymi i ideowo-politycznymi stworzonego by w postaci systemu uzupełniającego szkolenia i praktyk, w tym zagranicznych, możliwości zdobywania kwalifikacji niezbędnych dla objęcia kierowniczego stanowiska.

Problem usprawnienia metod selekcji kierowników zakładów produkcyjnych nabiera dodatkowej wagi, jeśli rozpatruje się go z punktu widzenia uruchomienia skutecznych bodźców psychologicznych, sprzyjających dążeniom pozostałych kategorii funkcjonariuszy przemysłowych do podnoszenia kwalifikacji zawodowych. Przykład Konina jest i pod tym względem pouczający. Odkąd kierownictwo kopalni znalazło się w rękę należycie dobranych kompetentnych ludzi, ruszyła też z miejsca sprawa kształcenia zawodowego personelu. Jesz-

cze dwa lata temu toczyły się tam spory z władzami zwierzchnimi na temat utrzymania zagrożonego likwidacją Wieczorowego Technikum Górniczego; dziś działa w Koninie nie tylko Technikum, ale także uruchomiono niedawno punkt konsultacyjny Politechniki Poznańskiej. Rozwój studiów wieczorowych przy UAM dostarcza wielu przykładów, potwierdzających występowanie tej swoistej prawidłowości, że istniejące wewnątrz zakładów opory psychiczne przeciwko kształceniu pracowników, zwłaszcza kształceniu na wyższym szczeblu, przełamuje najsilniejszą i najtrudniejszą organizację odpowiednich kwalifikacji przez dyrektora przedsiębiorstwa i jego najbliższych współpracowników.

Chciałbym krótko omówić sprawę usytuowania pracowników biurowych w przedsiębiorstwie przemysłowym i sprawę kontaktów między poszczególnymi kategoriami pracowników w zakładzie pracy. Działalność administracji jest u nas wyraźnie niedoceniana, nawet lekceważona, na skutek czego organizacja pracy administracji i kultura pracy aparatu urzędniczego jest chyba jedną z najbardziej zaniedbanych dziedzin życia w Polsce w ogóle, a w przemyśle w szczególności.

Do pracy w administracji — jak świadczy o tym m. in. badania w Koninie, angażują się elementy najmniej rzetelnie i ambitnie, co oczywiście wpływa na obniżenie prestiżu tej kategorii pracowników w oczach załogi. Z kolei świadomość, że jest się nisko wartościowanym przez środowisko, rodzi wśród pracowników biurowych kompleks niższości, przejawiający się w przeświadczeniu, że nawet najbardziej efektywna praca urzędnicza nie znajdzie publicznego poklasku.

Trudno też oczekiwać, aby nie posiadający pełnych kwalifikacji a tylko przyrzucony robotnik, obsługujący skomplikowany wielomilionowej wartości agregat, żywił szacunek do pracy biurowej, skoro wykonujący tę pracę urzędnik na dobrą sprawę tym tylko różni się od swego poprzednika sprzed stu lat, że zamiast gesiego pióra używa długopisu. Dlatego też w planowaniu budowy nowoczesnych fabryk, należałoby uwzględnić także udoskonal-

Dokończenie na str. 2

DZIEJE DALEKIE I BLISKIE

Jeszcze do niedawna piśmiennictwo i dokumentacja ruchów robotniczych Wielkopolski — były ubogie. Bardzo nieliczne materiały archiwalne nie dawały pełnego obrazu dziejów postępowych organizacji politycznych i społecznych. Stąd chyba ocena postawy i działalności poznańskich i wielkopolskich robotników była często powierzchowna i niepełna. W ciągu ostatnich kilku lat wiele się zmieniło na lepsze. Wzrosło zainteresowanie przeszłością, opublikowano sporo ciekawych prac naukowych i zebrano wiele dokumentów.

Dużą w tym zasługą Referatu Historii Partii Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu. Zgromadzone przez Referat materiały rzuciły bowiem pełniejsze światło na wielkopolski ruch robotniczy. Okazało się, że ruch ten miał lata wzlotów i dynamicznego rozwoju. I tak na przykład w okresie 1919—1921 intensywnie działali komuniści, socjaliści, klasowe związki zawodowe. Grupa Porankiewiczza wydawała najpierw „Tygodnik Ludowy”, a później „Trybunę Robotniczą”. Odbływały się masowe, burzliwe wiece i manifestacje (na przykład 20 kwietnia 1920 roku pod zamkiem). W latach 1921 i 1922 zorganizowano masowe strajki robotników wolnych.

Podobny dynamizm cechował ruch robotniczy w latach 1927—1929. Był to okres, w którym wręcz „królował” Alfred Bem. Tysiące robotników uczestniczyło w manifestacjach i wiecach organizowanych przy Drodze Dębińskiej. Tysiące ludzi brało udział w pochodach bezrobotnych. PPS-lewica w samym Poznaniu skupiała wówczas ponad 10 tysięcy członków.

To tylko jeden, ale jakże wymowny przykład, skorygowania oceny, zjawisk historycznych dzięki działalności Referatu Historii Partii KW PZPR w Poznaniu, którym od pięciu lat, to jest od chwili powstania kieruje mgr Marian Olszewski. Potrafił on wciągnąć do współpracy szerokie grono historyków (zawodowych i amatorów), archiwistów i działaczy. Przyniosło to im imponujące efekty w postaci zgromadzenia obfitych materiałów z dziejów ruchu robotniczego i najnowszej historii Polski, materiałów dotyczących przede wszystkim naszego regionu.

Znajdują się wśród nich szatki akt klasowych związków zawodowych i TUR-u, druków ulotnych KPP i PPS, nawet PPS zaboru pruskiego. Uwagę zwracają unikatki: praca Czesława Porankiewiczza „Więzy rui robotnika wielkopolskiego!” i sprawozdanie wydobyte z piwnego domu Gestapo, a dotyczące wyników śledztwa przeciwko działaczom PPR.

Tak więc okazuje się, że wbrew utartym mniemaniom, w Wielkopolsce nie złożyono broni. Choć okupant traktując „Warthegau” jako ziemię rdzennie niemieckie stosował wobec ludności polskiej szczególnie surowe restrykcje, komuniści rozwinęli działalność dywersyjno-sabotażową na dużą — w tej trudnej sytuacji — skalę.

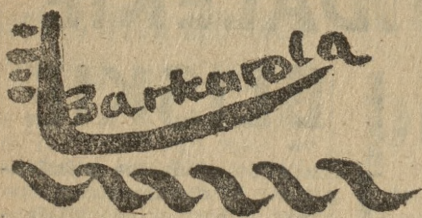
W Referacie Historii Partii znalazły się także niezmiennie interesujące materiały typu muzealnego, jak związkowe i partyjne odznaczenia, opaski, pocztówki okolicznościowe, karty strajkowe i legitymacje (na przykład leg. nr 1 Związku Polskiej Młodzieży Socjalistycznej z 1920 roku, legitymacja Tow. Oświaty Robotniczej „Swit”).

Skompletowano materiały do biografii takich działaczy, jak: Alfred Bem, Czesław Porankiewicz, Józef Paszta, Marcin Chwiałkowski, Stanisław Kiebasiewicz, Stanisław Niebalski, Franciszek Stróżyński, Stanisław Chudoba, Stanisław Nowakowski, Henryk Ułaszyn. Prowadzone są prace nad sporządzeniem wykazu żołnierzy radzieckich poległych w walkach o wyzwolenie Wielkopolski (wyzwolenie było w całym tego słowa znaczeniu przeplacone krwią: w Rawiczu poległo ok. 1,5 tys. czerwonarmistów, w Pile — 1300, w Nowym Tomyślu 1000). Oto trwa ustalanie nazwisk Polaków zamordowanych przez hitlerowców w Forcie VII Powstała kartoteka — poległych za władzę ludową — obejmująca setki nazwisk działaczy, robotników, nauczycieli, funkcjonariuszy MO i żołnierzy, którzy zginęli w walce z reakcyjnym podziemiem.

Uwieńczeniem żmudnej działalności zbierackiej są prace oparte w całości lub częściowo na materiałach

Dokończenie na str. 2

Feliks Siemiankowski



Meeteorologiczna prognoza Wicherka na sobotę potwierdziła się. Już od samego rana padał drobny, przenikliwy deszcz.

Dyrektor Bukowski zatrzasnął drzwi samochodu, narzucił na siebie nieprzemakalny płaszcz i nuciąc Barkarolę podążył spieszenie do gmachu. Głównego inżyniera nie zastał w biurze. Jego pokój był zamknięty. Dyrektor otwierał to jedno, to drugie drzwi, aż zastał go w dziale produkcyjno-technicznym, przy omawianiu projektu planu rozwoju techniki na r. 1963. Nie zdejmując płaszcza ani kapelusza, przysłuchiwał się przez chwilę rozmowie i w końcu powiedział:

— Postęp techniczny składa się nie tylko z rzeczy wielkich... Zamyślił się i zwracając się do głównego inżyniera rzekł:

— Za parę minut wyjeżdżam do N., wykorzystam wreszcie resztę dni tego rocznego urlopu, wrócę w poniedziałek wieczorem, najpóźniej we wtorek.

— Dyrektor wybiera się do N.? Do krewnych? Znajomych? — pytał liczący około sześćdziesięciu lat, pracownik działu technicznego.

— Krewnych nie mam w N., ale znajomi są.

Pracownicy działu produkcyjno-technicznego komentowali, że dyrektorzy nie wykorzystują urlopów na podróże w deszcz, zwłaszcza do nieatrakcyjnych miejscowości. Włodzimierz Bukowski, by zadowolić wyobraźnię współpracowników o dyrektorach, uśmiechając się spod oka zażartował:

— Ponadto wyczytałem w gazecie ogłoszenie, mogę okazynie kupić tam „Warlburga”.

Kupno „Warlburga” wywołało wśród kolegów chwilową konsternację. Dyrektor chcąc wrócić do poprzedniego tematu, dorzucił:

— Pan zna to miasteczko?

— Znam, jeszcze z czasów swej młodości. Prawie każde wakacje spędzałem tam u kolegi — mówił pracownik działu technicznego. — Będąc jeszcze stu-

Zbigniew Szumowski

Rodzice dziadkowie i dzieci

Jacy oni są? Co myślą? Jak jest ich zdanie na temat...? Oto lista pytań, z którymi spotykam się najczęściej po powrocie do kraju. Nie ulega wątpliwości — kraj za Odrą i Nysą, jak chyba żaden inny, interesuje Polaka przede wszystkim ze względu na poglądy jego mieszkańców.

Zdarza się, że indagujący mnie stawia od razu, nawet nie czekając na moją odpowiedź, diagnozę ujętą w lapidarny pewnik: Niemiec pozostanie Niemcem. Przepraszam, a kim ma się stać? Eskimosem? Jest bowiem rzeczą oczywistą, że każdy spośród 18 milionów obywateli NRD pozostanie Niemcem. Mimo takich czy innych zmian w ich świadomości, w ich ocenie faktów i problemów, przeszłości i przyszłości. Zmian następujących u poszczególnych Niemców w różnym stopniu, będących wypadkową wielu czynników.

Dlatego traktując owe zmiany jako najbardziej godne uwagi, nie uważam za możliwe danie formuły, jaki jest Niemiec 1962 czy 1963. Przedstawię natomiast jedną z rodzin niemieckich.

Heinricha poznałem latem 1959 roku nad „berlińskim morzem” Muegelsee. Miał wówczas 18 lat. Przez niego — następnego wieczoru — poznałem matkę. Siwe włosy, ślady urody na zniszczonej przez niełatwe życie twarzy.

„Wie pan, to nie było takie łatwe ani proste. Mój mąż zginął w grudniu 1943 roku nad Berlinem. Był odznaczony Ritterkreuzem. Najpierw latał na bombowcach, później kiedy ich zabrakło, na coraz bardziej potrzebnych myśliwcach. Tu u nas było strasznie, więc kiedy mąż poległ w walce z amerykańskimi bombowcami, tym bardziej czciłem go jako bohatera. Chciałam, by stał się wzo-

rem dla syna, którego nie pamiętał. Jeszcze długo, długo później, kiedy pisano w naszych gazetach lub mówiono przez radio o pirackiej Luftwaffe, oburzałam się i buntowałam przeciwko tego rodzaju propagandzie. Chciałam za wszelką cenę uchronić od jej wpływu Heinricha, rzucić mieszkanie i wyjechać tam... Nawet rodzina namawiała. Zostałam jednak. Dziś rozumiem, że i mój mąż był na swój sposób winien. Ritterkreuz dostał właśnie po kampanii w Polsce. Wszystkie nasze nieszczęścia były następstwem tego, za co

dostał krzyż. Kiedy pomyślę, że byłam z tego krzyża taka dumna...” Obok tej rozmowy zapisałem w moich ówczesnych notatkach:

„Kiedy szedłem późną nocą do stacji S-Bahn, odprowadzający mnie Heinrich próbował niepotrzebnie usprawiedliwiać matkę. Mówił o balastie przeżytków, które, niestety, nie pozwalają jej ocenić w pełni czym jest właśnie NRD. Doświadczony osiemnastolatek nie starczało już, by mógł ocenić, jaki wpływ wywarły na ową kobietę — niegdyś nieomal że dumną ze swego wdowieństwa po lotniku zestrzelonym nad Berlinem — nowe warunki stworzone przez NRD.”

Tuż przed gwiazdką 1962 roku postanowiłem odnowić znajomość. Stary adres okazał się nieaktualny: w miejscu szpiczastego kikuta dawnej oficyny, w której niegdyś mieszkali, zionął wykop pod nowy budynek. Indagowany właściciel pobliskiej drogerii, powtórzył dwukrotnie nazwisko, spojrzawszy z zaskoczeniem na zagadkowy ruch ręką. Gotów byłem zrozumieć to jako infor-

mację: wynieśli się tam, na zachód. Na szczęście poszedłem sprawdzić do blokowego. W pół godziny później trafiłem pod nowy adres. Powitali serdecznie, przedstawili „dziennikarza z Polski” żonie i synowej Waltraud, pochwili się nowym, trzypokojowym mieszkaniem. Potem przy blasku czterech świec adwentowych gadu, gadu. Od prostych relacji i informacji, do spraw coraz poważniejszych. Częstokroć konfliktowych.

„Bo jak pan wie, mam tam na zachodzie całą swoją rodzinę. Obie siostry. Co prawda dawniej, kiedy się z nimi spotykałam, nie zawsze były serdeczne. Próbowali mnie traktować jako ubogą krewną. Wy-mawiali, że sama jestem winna, że Heinrich uległ tamtejszym wpływom. Ale zawsze to rodzina. Pan młody, więc chyba jeszcze nie rozumie, co to znaczy. Tak jak Heinrich. Lecz mnie po trzydziestu latach jest nieraz ciężko. Zwłaszcza teraz, przed gwiazdką... I myśli pan, że

Berlińskie refleksje

mało się napłakałam, kiedy w tę niedzielę przysłał kartkę, że nie wróci i na tę noc, że stoi na granicy. I potem, na trzeci dzień, kiedy poszłam zanieść mu na granicę czystą bieliznę i zobaczyłam, jak różni gałgani rzucają w naszych chłopców kamieniami...”

— Mama zawsze swoje...

— Ja przecież nie zaprzeczam, że trzeba było. Ale czy ty nie możesz zrozumieć, że bałam się o ciebie. Może nie strzelali do was, nie zabili Kubisa?...

— Zo to twoje siostry mogły się cieszyć, że nasi zginęli. Bo, proszę pana, mówi się: rodzina. W gruncie rzeczy ja interesowałam ich dopóki wierzyli, że uda im się przyciągnąć mnie na swoją stronę. Jeszcze w czerwcu 1961 roku ciotka obiecywała: przyjadę do nas, w nagrodę za dyplom zafunduję ci tygodniowy pobyt w Grecji z podróżą lotniczą z Berlina zachodniego i z powrotem; nikt nie będzie wiedział, potem dopiero wybieraj. Jeśli chcesz, możesz zostać u nas; za to co zrobisz jako technik u nas, możesz więcej dostać niż tu. Nie pojechałam. Gdybym skorzystał z przejażdżki, a później wró-

cił tu, pewnego dnia mógłby przyjeść do mnie ich agent: byłeś nielegalnie za granicą, oto twoje zdjęcie jak siadasz w Atenach do samolotu; wybieraj — albo przejdiesz do zachodniego Berlina, albo my posłamy to zdjęcie, gdzie trzeba, czy tak nie robili?... Niełatwo powiedzieć sobie: chodzi o ważniejsze sprawy niż podróż do Aten lub szybkie kupienie sobie auta po tamtej stronie. I nie łatwo było, zanim jeszcze powstał mur a już zamknęliśmy granicę, stać naprzeciw tamtych i zachować spokój mimo ich obelg i kamieni. W ogóle niełatwo być porządnym Niemcem. Na przykład w rodzinie Waltraud istnieje problem polski...

Okazuje się, że dwudziestoletnia żona Heinricha urodziła się w wiosce koło Kluczborka, która jak pozwala wnioskować przekreślana „niemiłosiernie polska nazwa, wie się chyba Bąbkowice. Dwuletnia Waltraud przeżyła, uciekając wraz z rodzicami i dziadkami, upiorną noc popielcową 1945 roku w Dreźnie, kiedy to od bomb alianckich zginięło około 160 tysięcy osób. Potem rodzice otrzymali ziemię pod Magdeburgiem, zagospodarowali się, ostatnio zaś ojciec został przewodniczącym LPG (spółdzielni). Dla rodziców też Bąbkowice są już tylko przeszłością. Za to dla dziadków... Kiedy umierała latem 1962 roku babka, przez dwa dni mający ją, że jest tam, w dawnych stronach. Prowadziła rozmowy z sąsiadkami, których nie widziała od 1945 roku. A Waltraud?

„Ja doskonale rozumiem dziadków. Ale tylko rozumiem. Dla mnie Heimatland to już co najwyżej okoliczność Magdeburga. A teraz jestem berlińczyką i już nie chciałabym nigdy mieszkać w mniejszym mieście. Co dopiero na wsi. Zresztą i moje rodzeństwo, które pozostało na wsi, nie podziela zdania dziadka, że gdyby można wrócić... Owszem, chętnie kiedyś pojechał do Polski, żeby zobaczyć jak tam właściwie jest, ale nie ponadto...”

Jakżesz często nie dostrzegamy, ile spraw zmienia się w sprzyjających warunkach z upływem czasu. Jak zmieniają się ludzie i jak dorastają nowi ludzie.

DZIEJE DALEKIE I BLISKIE

Dokończenie ze str. 1

Referatu Historii. Wymieńmy kilka z nich: A. Czubiński, M. Olszewski — „Z rewolucyjnych tradycji Wielkopolski w latach 1919—1939” (praca inauguracyjna studia nad nieknięcią do owego czasu problematyką wielkopolskiego ruchu robotniczego), A. Czubiński, M. Stanski: „Strajki rolne w Wielkopolsce 1921—1922”, A. Czubiński „Ruch robotniczy we wschodnich powiatach Wielkopolski w okresie II Rzeczypospolitej”, R. Lewandowski i M. Olszewski „Materiały bibliograficzne do problematyki PPR i jej dziejów w Wielkopolsce”.

Nie przypadkowo powtórzyło tu się kilka razy nazwisko dr. Antoniego Czubińskiego. Naukowiec ten, ściśle współpracujący z Referatem Historii Partii, jest wybitnym inspiratorem mającym duży udział w osiągnięciach, o których była mowa.

Gromadzenie dokumentów i materiałów, to jeden kierunek działalności Referatu. Drugi — polega na popularyzowaniu rewolucyjnych tradycji wielkopolskiego regionu. Tutaj można by mówić o organizacji

setek odczytów i prelekcji wygłaszanych w różnych środowiskach społecznych. Obok ożywionej akcji odczytowej wiele uwagi poświęca się wystawom, na przykład z okazji 40 rocznicy powstania KPP i XV-lecia wyzwolenia Poznania. Również ostatnio gremialnie zwiedzana przez poznaniaków wystawa „Wielkopole w obozach i więzieniach hitlerowskich” była zorganizowana przy dużym udziale Referatu.

Na zakończenie — refleksja. Zdarza się, że mówiąc o ruchu robotniczym i o naszych najnowszych dziejach, operujemy ogólnikami — prawdziwymi — ale ogólnikami. Jeśli nie są one poparte odpowiednim materiałem faktograficznym, to łatwo o wulgaryzację i pływaczność. Z tym zjawiskiem walczy Referat Historii Partii. Walczy wydzierając z orzłów niepamięci konkretne fakty o raz popularyzując rzetelną wiedzę o ruchu robotniczym i o pierwszych latach socjalistycznego budownictwa.

MICHAŁ ŁUCZAK

P. S. Za naszym pośrednictwem mgr M. Olszewski gorąco apeluje do wszystkich, którzy posiadają materiały, dotyczące ruchu robotniczego i pierwszych lat władzy ludowej w Wielkopolsce — o złożenie ich w Referacie Historii Partii KW PZPR w Poznaniu.

Buława dyrektora i awanse

Dokończenie ze str. 1

lenia techniczne służące podniesieniu efektywności pracy biurowej.

Problem urzędników przemysłowych i deprecjacji wykonywanych przez nich funkcji w opinii pozostałej części załogi — to jeden z aspektów bardziej ogólnego problemu informowania wszystkich członków zbiorowości pracowniczej o wszystkich sprawach związanych z funkcjonowaniem zakładu. Ideał socjalistyczny rozbudzenia wśród ogółu pracowników poczucia odpowiedzialności za warsztat produkcyjny i za pełnienie im możliwości współdecydowania o jego losach może być w pełni urzeczywistniony tylko w takim przedsiębiorstwie, w którym załoga orientuje się w poczynaniach i zamierzeniach kierownictwa oraz innych instytucji zakładowych. Im lepiej funkcjonować będzie system komunikowania się pracowników, tym szybciej postępować będzie proces integracji załogi i co za tym idzie — tym większe będą społeczne zyski industrializacji.

Doc. dr WŁADYSŁAW MARKIEWICZ



Ilustr. EWA PRUSKA

dentem, maszerowałem w gronie kumpli ulicami tego miasteczka w noc sylwestrową. Mijające nas panie czyniły ogromny wrzask, ale wpatrywały się w tak oryginalny „parademarsch”.

— To historyjka! A ja sądziłem, że od niedawna istnieją chuligani — zaśmiał się dyrektor.

Koleżdy biurowi nie zareagowali na niezapomniane przeżycie współpracownika, gdyż nierzaz je słyszeli. Rozmówca prawil z werwą dalej:

— To była wtedy „freuda”, a dziś? — machnął ręką. — Nuda. Wprawdzie dawno nie byłem w N., bo i nie tęsknię za tą dziurą, ale dziś pewnie można tam zobaczyć tylko to, co w każdym innym miasteczku: ratusz z zegarem, brukowany rynek, stare kamieniczki, parę ulic na krzyż, jedna knajpa, to wszystko. A w dni deszczowe, zwłaszcza teraz jesienią — machnął znów ręką — jednym słowem mówiąc: bto po kosiki, martwośa et cetera.

Technolog dodał:

— I swoistą kategorię ludzi można zobaczyć w miasteczkach, do których sens dowcipu dochodzi dopiero po upływie kilku dni. A gdy w miasteczku pokaże się obcy, przystojny mężczyzna i w dodatku elegancki, jak nasz dyrek-

tor, to nie tylko panny, ale i mężatki się ożywiają.

— A więc niech się dyrektor ma na baczności, poleca na pana — wręcił znów starszy wiekiem.

— Nie będzie na jutro partnera do brydża — powiedział z rezygnacją główny inżynier.

— Ech, przesada. A co do brydża, to posadzam was o nieznajomość kadr, technolog zastąpi mnie doskonale — rzekł dyrektor — odsunął wystający biały mankiet i spojrzął na zegarek.

W halu dworcowym spoglądał, że pozostało tylko osiem minut do odejścia pociągu. Rozejrzawszy się, poszedł do kiosku najmniej obłożonego; kupił gazetę i kilka czasopism, które miały zapełnić czas podróży. W przelewającej się masie podróżnych Włodzimierz Bukowski wyróżniał się wspólną prezencją. Przeciskając się przed zbiorowisko ludzi w ostatniej chwili dostał się do wagonu.

Pomimo fłoku na peronie, w przedziałach pierwszej klasy było kilka wolnych miejsc. Zajął wolne jeszcze miejsce przy oknie w przedziale dla niepalących. Naprzeciw siedząca zażywna

jejmność mierząc go ciekawym okiem, nie odpowiedziała na Włodzimierza „dzieńdobry”, nieprzerwanie relacjonowała o nieznosnym charakterze swej synowej. Nieprzemakalny płaszcz i jesienkę zawiesił w narożniku przedziału, czasopisma i feczke położył na siatce i wyszedł na korytarz. Stał długo w korytarzu wagonu pullmanowskiego.

Podróż ta jeszcze przed tygodniem nie była przewidziana przez Włodzimierza. Janusz po kilku latach milczenia dał o sobie znak życia, zaprosił Włodzimierza do N. Niegdyś byli związani ze sobą serdeczną przyjaźnią; przeżywali wspólnie radosze chwile, łączyły ich jednolite zainteresowania, razem przeżywali różne porypetnie na studiach w Poznaniu. Włodzimierz w tamtym okresie często bywał w N., goszczony przez rodziców Janusza, którzy przyjmowali go nie tylko jako kolegę syna, ale jako przyszłego członka rodziny. Szczególnymi zaś względami darzyła go siostra Janusza — Barbara.

Przytuleni, trzymając się za ręce, nierzadko toczyli serdeczną rozmowę, nierzadko przez długi czas w milczeniu szli ścieżką wiodącą na wzgórze, z którego rozciągał się widok na miasteczko, na strumyk wariko płynący, na wieżę kościoła

unoszącą się ponad szczyty drzew. I tam właśnie wśród wiecznie zielonych świerków przysięgali sobie wzajemną miłość. Włodzimierz kochał Barbarę. Barbara kochała Włodzimierza. Potęgi wzajemnych uczuć nie potrafili ukryć. I chociaż miłość to wyłącznie osobisty poemat, w miasteczku mówili o komunice i Baśce młodzi i starzy, a najwięcej ci, co chodzili do proboszcza po pociechę.

Jednak Barbara uległa. Wysłała niespodziewanie za mąż za kogoś innego, w czasie gdy Włodzimierz odbywał praktykę za granicą. Był to cios dla Włodzimierza. Będąc w Wiedniu otrzymał okolicznościowy telegram, że... ślub odbędzie się w kościele parafialnym... Od tego czasu kontakty między nimi zostały przerwane. Toteż nieoczekiwana wiadomość z miasteczka N. wywołała u Włodzimierza różne przypuszczenia, tym bardziej że Janusz donosił tylko w krótkich, uprzejmych słowach, że wiele się u nich zmieniło.

Gdy pociąg znów przyszedł, nowo przybyli podróżni zapełniali wagon. Włodzimierz zajął poprzednio zarezerwowane miejsce w przedziale i zatopił się w czytaniu. A gdy przegądał czasopisma, konduktor rozsunął drzwi

— Proszę bilety do kontroli — zawołał.

Mężczyźni sięgali do kieszeni, kobiety szperały długo w torebkach.

— Daleko jeszcze do N.? — zapytał siedzący obok Włodzimierza, podając konduktorowi bilet.

— Dojeżdżamy... — wyprzedziła odpowiedź konduktora zażywna jejmność. Włodzimierz spojrzawszy w twarz towarzyszy podróży.

Pociąg zbliżał się do N. Włodzimierz odłożył gazetę i spojrzawszy w okno. Było już widać panoramę miasteczka. Prawa strona N. przedłużała się po samo wzgórze porośnięte świerkami. Po lewej stronie strumyka stało w równym rzędzie kilkanaście nieotynkowanych jeszcze, popielatych domków jednorodzinnych. Na nieużytkach, gdzie pasły się owce i kozy, Włodzimierz dostrzegł boisko sportowe, a za mosem niedaleko stacji kolejowej jakąś fabrykę.

Pociąg wleczyl się na peron. Pasażerowie z pakami, walizkami, dziećmi, z pospiechem opuszczali przedział, przesuując się ku wyjściu. Włodzimierz nie spieszył się teraz, wolnym krokiem

Feliks Fornalczyk

Gawędy przyjaciela teatru

Wydawnictwo Poznańskie wydało zbiór „Gawęd teatralnych” Jerzego Kollera. Gawędy te powstały stopniowo — niczym „wielkie improwizacje” — w studio rozgłośni poznańskiej Polskiego Radia. I jeśli je odczytywać jako improwizowane gawędy, człek mimo woli musi uchylić kapelusza przed ich autorem — tyle bowiem w nich dowodów wiary i sprawnej pamięci, tyle szczegółów, taka intensywność i rozległość życia teatrem.

Dzieje tych gawęd — w radio — mają „pięć czy sześć lat”, autorka przedmowy, Elżbieta Elbanowska, wspomina o „ponad 40 gawędach”, jakie w tym czasie — przy jej udziale — zostały nagrane i nadane w programie radiowym. W książce gawęd tych znalazło się dwadzieścia cztery, a więc jest to ich wybór, przetworzenie, a nie „opera omnia”.

Sam ich autor wspomina o blisko trzydziestu latach swojej działalności recenzentki i kronikarskiej. „Od roku 1911, mówiąc ściśle, od jesieni 1911 aż do roku 1939 bez przerwy pisałem krytyki teatralne, z czego na Poznań przypada pełnych 20 lat pracy krytycznej”. Zbiór tych krytyk przypadł autorowi podczas wojny, ale został zrekonstruowany w pracowni prof. Stefana Wierczyńskiego w Poznaniu. A na innym miejscu książki Jerzy Koller wspomina o dwóch swoich książkach, które również zaginęły w czasie wojny. „Przepadły materiały, a po części wykończono rozdziały moich dwóch prac, którym poświęciłem 20 lat życia. Jedną z nich była „Historia sceny narodowej w Polsce”.

Owych dwóch książek odtworzyć się już nie da — z dorobku pisarskiego i teatrologicznego Jerzego Kollera pozostanie więc najprawdopodobniej tylko ten komplet wyników wypraw w pracowni uniwersyteckiej oraz świeża książka gawęd teatralnych.

Jerzy Koller obchodził w zeszłym roku jubileusz 60-lecia swojej pracy pisarskiej i teatralnej — nowa publikacja „Wydawnictwo Poznańskie” jest więc podwójnie ważna: stanowi debiut książkowy autora i pamiątkowe wydawnictwo jubileuszowe.

W tej niewielkiej — bo liczącej zaledwie 225 stron — książce znajduje się widomy każdemu płon całego życia, spędzonego w służbie teatru i literatury — książka ta jest zatem o ileś tam lat spóźniona — rejestruje przeżycia doznawane jakby ex post — daje wyraz temu, co zrodziło się niejako w ostatnich chwilach, z chęci uchopenia przed zapomnieniem tych niezwykłych doznań, jakie mogą być udziałem bardzo niewielkiej grupy wybranych.

Okoliczność ta daje do myślenia nie tylko o losach książki, ale przede wszystkim o losie człowieka, który jest jej autorem.

Jerzy Koller: „Gawędy teatralne”. — Opracowała oraz opatrzyła przypisami i notkami biograficznymi aktorka Elżbieta Elbanowska. „Wydawnictwo Poznańskie”, Poznań, 1962, str. 223+1 ntb. Rysunki Włodzimierza Bartoszewicza, okładka Józefa Skorackiego.

przeszedł długość peronu, zbliżając się do hallu dworcowego.

Włodzimierz spoglądając wzdłuż hallu, szukał wzrokiem znajomych twarzy. Nagle usłyszał znajomy głos. Za drewnianą barierką wśród grupy ludzi ujrzał dobrze znaną twarz. To Janusz uniesionym kapeluszem witał Włodzimierza.

— Jak się masz, przyjacielu? Cieszę się, że znów cię widzę, po tylu latach, a miałem skrupuły... Rozumiesz mnie? Pogadamy o wszystkim, a teraz niech ci się przypatrzę, zmężniałeś, naprawdę bardzo się cieszę! — powiedział z zapalem Janusz. Uśmiechnął się.

— Czas robi swoje, nieraz brakowało mi ciebie... Z Poznania do N. bliżej niż z N. do Poznania — żartował Włodzimierz.

— Na ciebie, Włodku, można liczyć. Ale chodźmy już — rzekł Janusz — moja sąsiadka gapi się na nas; poprzednio też z nami mieszkala — dodał.

Włodzimierz zauważył zażywą paszerek z przedziału, który niedawno opuścił. Szepotała porozumiewawczo młodej kobiecie, patrząc na niego z ukosa.

Stąd, że nie były to gawędy spisane z myślą o druku, że są to gawędy mówione, wynika też cała ich odrębność, ich tok swobodny, ich walory popularyzatorskie. Zwracanie się słowem wprost do słuchaczy wyeliminowało suchą dokumentację, zwalniało od ścisłego przestrzegania chronologii, kazało natomiast myśleć o uatrakcyjnieniu — przede wszystkim poprzez wątki anegdotyczne oraz odpowiednie ujęcie, a nawet dobór tematów.

Jerzy Koller rzadko korzysta w swoich gawędach z przywileju doświadczonej starości — nie poucza, nie peroruje, rzadko z czym i kim polemizuje. Wynika to z wyraźnie określonego przekonania: „Bardzo często krytycy nie zdają sobie sprawy z tego wysiłku, trudu i pracy, jaką od pierwszego reżysera i scenografa zaczynać, a na ostatnim maszyniście kończąc, cały teatr włożył w przedstawienie, które widzą dostając jako gotową całość. Tej pracy należy się szacunek.

Zbiór gawęd Jerzego Kollera powinien mieć zupełnie inny układ. Rozpocząć powinna go gawęda o Helenie Modrzejewskiej, a kończyć gawęda o sobie samym. W gawędzie o Modrzejewskiej została bowiem ukazana w sposób przekonujący praprzyczyna całego oczarowania autora teatrem, oczarowania, które zachował on w sposób niezmienny do dnia dzisiejszego. Przyczynę tę nazwałbym egzaltacją.

Posłuchajmy autora, wspominającego spotkanie z Heleną Modrzejewską. Jerzy Koller jest wówczas studentem, nie ma nawet dwudziestu lat, Modrzejewska jest słynną aktorką, kobietą w wieku podeszłym. Modrzejewska daje dwa koncerty dobroczynne na rzecz Bratniej Pomocy Akademickiej, Koller — przez przypadek: jedyny z kolegów miał frak! — zapowiada ją i towarzyszy jej w przerwie między koncertami. Dwa szczegóły z tego wspomnienia wybijają się ponad wszystkie inne.

Jeden szczegół dotyczy wyglądu Modrzejewskiej. „Takich oczu, przyznam się szczerze, drugi raz w życiu nie spotkałem już nigdy” — pisze Jerzy Koller. Drugi szczegół dotyczy rozmowy z wielką aktorką. „Modrzejewska podczas rozmowy powiedziała nagle do mnie słowa, których nigdy nie zapominałem: — Pan kiedyś będzie pisał o teatrze, niech pan wtedy pamięta, że w Polsce artyście nie liczy się ani zasług, ani talentu, liczy się tylko lała i zmarszczki...”

Jerzy Koller nie tylko zapamiętał sobie na całe życie te „przepowiednie”, lecz uczynił nawet z tej wskazówki motto całego swojego życia. Uprzywilejowywał talenty, popierał zasługi i czcił szczerze pracę innych. Dobre, życiowe to cechy. Z faktem, uczuciowo, sympatycznie prezentują się one w gawędach związanego od lat z Poznaniem niestarzejącego się przyjaciela teatru.

Jeśli się on czasem omylił w którejś gawędzie, jeśli zawiedzie go pamięć — te odesłstwa od prawdy z surową pedanterią komentuje w przypisach „małka chrzesna tomu” — Elżbieta Elbanowska. Książka „Gawęd teatralnych” Jerzego Kollera uzyskała bardzo gustowną i efektowną oprawę wydorską, co zasługuje na oddzielne honory.

Począł znów padać równy, drobny deszcz. Gdy znaleźli się na placu przed dworcem, Janusz otworzył parasol idąc, spiesznie opowiadał:

Przy ulicy Armii Czerwonej powstało nowe osiedle mieszkaniowe. Ja też zajmuję mieszkanie z matką w jednym z nowych bloków. Baśka przeprowadziła się „z nim” do pobliskiego miasteczka. A tam, — przystanęli — gdzie według legendy niegdyś stała stara karczma, która przeżyła jeszcze „lamenty chłopów na pany”, w tym miejscu wybudowany został Dom Kultury. Muszę się pochwalić Włodku, to mój projekt, pokażę ci jego wnętrze, ciekawy jestem twego zdania? Nie wszyscy jednak na jego budowę godzili się, były opory...

— Wielkie zmiany — potwierdził Włodzimierz — jadąc pociągami już zauważyłem, że N. rozrósł się. Wszyscy ko pachnie tu zaprawą, świeżością.

Często odpowiadali na pozdrowienia przechodniów.

— Cieszysz się szcunkiem, wszyscy cię znają — zagadnął Włodzimierz.

— Zafatwiałem wiele spraw, jestem przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej.

Idąc wolnym krokiem ku domowi,

Bogusław Kogut

O potrzebie refleksji

Śnieżyca, zawieja, dujawa — jakby rzekł poniekąd góral. Na ulicy pusto, żadnych pojazdów, zresztą ruch jednokierunkowy, czyli zwiększone bezpieczeństwo. Trzeba mi przejść na drugą stronę, trzeba i innym. Inni idą, więc ja też, jako że wielka jest w czowieku potrzeba upodabniania się do drugich. Ale ten umundurowany obywatel czatuje — widzę to — na mnie. Dlaczego na mnie? Czy moja fizjonomia jest droższa od innych o te 50 złotych mandatów? Czy to ja, akurat ja, powinienem świecić tak zwanym przykładem, nie przechodzić choć wszyscy przechodzą, iść do narożnika choć nikt nie idzie? Jeśli tak — zapłać mandat, nie będę zwracał z połowy drogi; diabli nie tego nie lubię — zwracania z połowy drogi.

— Dzień dobry.
— Dzień dobry.
— Idzie pan po jezdni jak gęś po łące.
— Tak.
— Nie jest pan wprawdzie wyjątkiem, ale...
— Tak.
— Co tak? — tu już głos wyżej.
— Tak. Pan ma rację. Tylko skąd pan wie, jak gęsi chodzą po łące? Czy pan może pasat gęsi?

Dwadzieścia trzy moskiewskie teatry dramatyczne (nie licząc statych filii wielu z nich) wystawiają co roku około stu nowych sztuk. Przedstawienia ogląda rocznie blisko jedenaście milionów ludzi. Tegoroczny repertuar przewiduje wystawienie więcej arcydzieł dramatu radzieckiego i świata, tym niemniej przebieg sztuk o tematyce współczesnej się utrzyma. Z dużym zaciekawieniem oczekuje się wystawienia „Ulewy”, debiutującego dramaturga Wojciechowa, sztuki poruszającej problem kultury jednostki. Teatr im. Pułaskina przypomni sztukę Leonowa „Dni naszego życia”, popularną w latach dwudziestych. Dramaturgów zachodnich reprezentować będą między innymi: Miller, Duerrenmatt, Brecht, Sartre, Saroyan..., o dramaturgię polską — „Niemy” „Pierwszy dzień wolności” i „Śmierć gubernatora” Kruczkowskiego, „Damy i huzary” A. Fredry, „Moralność Pani Dulskiej” Zapolskiej oraz „Orzeszek” Kowalczyka. Na maj bież. roku planuje się w Moskwie zorganizowanie festiwalu sztuki krajów socjalistycznych (w zakresie teatru, radia, telewizji i muzyki).

Dymitr Szostakowicz, trybitny kompozytor radziecki, pisze muzykę do filmu „Wieżniowie” z Altony” według dramatu J. P. Sartre’a

Aleksander Sołżenicyn to autor znakomitej powieści „Dzień Iwana Denisowicza” (w przekładzie polskim drukuje ją „Polityka”) poświęconej życiu w obozach karanych, istniejących na terenie ZSRR w okresie Stalina. Debiut ten przyniósł 44-letniemu autorowi zasługę sławę i rozgłos. Miesiąc „Wieżniowie” z Altony” zapowiada druk dalszych utworów te-

go autora, a mianowicie dwóch opowiadań: „Na stacji Kreczetowska” i „Zagroda Matrony”. Tematem pierwszego z nich jest zdarzenie z jesieni 1941 roku na stacji kolejowej Kreczetowska, kiedy to wartownik zastrzelił więźnia z transportu tak zwanych „okrużniców”, to jest żołnierzy, którzy przez pewien czas znajdowali się w okrajeniu niemieckim, a kiedy wyrwali się stamtąd, zostali aresztowani pod zarzutem zdrady ojczyzny. Drugie, poświęcone życiu wsi, jest podobno utworem wprost doświadczeń artystycznych, stojącym znacznie wyżej niż „Dzień Iwana...” W Moskwie oczekuje się z wielkim zainteresowaniem na te publikacje.

Na język estoński zostały dotychczas przetłumaczone utwory następujących autorów polskich: „Pierwszy dzień wolności” Kruczkowskiego, nowela Iwaszkiewicza, Andrzejewskiego, nieletniemu autorowi zasługę sławę i rozgłos. Miesiąc „Wieżniowie” z Altony” zapowiada druk dalszych utworów te-

Janusz był w swoim żywiole, gdy opowiadał o dyskusjach toczących się w Domu Kultury. Włodzimierza interesowały te sprawy, ale słysząc tak wiele o życiu kulturalnym miasteczka z początku trochę nie dowierzał, rzucał pytania. Odrzucił jednak podejrzliwość, gdyż to, co Janusz z takim patosem i zapałem przekazywał zasługiwało na zaufanie.

Schematycy sądzą — mówił Janusz — że wszystkie Domy Kultury na prowincji to oazy samotności. U nas jest ciągły ruch. Ostatnio w klubie podjęto frapujące zagadnienie zdolności i samopoznania. Wyobraź sobie, Włodku, że i moja matka zainteresowała ten skomplikowany problem. Wymieniano poglądy, padły nazwiska wybitnych psychologów i nie zabrakło przy tym nazwisk ludzi, którzy budują fontanny tam, gdzie nie ma wody. Przekazywał Włodzimierzowi najdrobniejsze szczegóły: — Na ścianach sali parterowej znajdziesz wszystkie kolory, w tym również czarny... Prowadząc ożywioną rozmowę nie spostrzegł jak się ściemniało. Po zapaleniu światła udali się do drugiego pokoju.

Włodzimierzowi rzucił się w oczy luksusowo urządzonej SAM. Dostrzegł dobrze usytuowane i zaopatrzone sklepy. Przystając przy sklepach obuwniczych i spożywczych zauważył, że w pierwszych ekspedientki stały beczynnie, a w spożywczych miały pracy po uszy. A przy bloku bananowego koloru, w którym mieszkał Janusz, pozostało jeszcze rusztowanie, poczerńnię od deszczu deski, rozrzucone wapno, worki z cementem. Drzewa tylko cienkie jak palec, mokre, całe w smutnych kropkach strzęgły ubocznego produktu procesu rozwojowego miasteczka.

Zanim Janusz zdążył nacisnąć na guzik dzwonka, matka otworzyła już drzwi. — Sprawia mi pan wielką radość odwiedzając nas. Jak to miło z pana strony... — uśmiechnęła, dostojna, przystojna Włodzimierza jak dawniej. Jej uważna, pełna czułości krzątająca wokół gościa oraz toczące się przyjaźnie rozmowy czyniły wrażenie, jak gdyby kilkuletnia dzieląca ich przestrzeń czasu nie istniała. Samo przyrządzenie potraw przez matkę było jawnym dowodem, że nie zapomniano w tym domu kulinarnych gustów Włodzimierza.

— Pan mnie obraża!

— Chwileczkę. Pan mnie przyrównał do gęsi, ja pana do pastewnika. Pasterstwo to piękny zawód, słoneczna Arkadia itd., a gęś, wiadomo, głupia gęś. Więc kto tu kogo obraził?

Albo:

— Dobry wieczór.
— A dobry wieczór.
— Panu się stop nie pali.
— Jeśli pan się przychyli i do brzo popatrzy...

— Ja nie jestem od przychyłania się.

— A ja od czego jestem? Może od przerabiania typowych światła w typowego pojazdu, po to, żeby stop świecił jaśniej niż jarzeniówka, pod którą stoję, i po to żeby pan nie musiał się schylać.

Albo: Śnieżyca, zawieja, dujawa. Wsiadam do oblepionego śniegiem tramwaju i dopiero wewnątrz spostrzegam, że to wagon bez konduktora, czyli dla „kartowiczów”. Ja karty nie posiadam. A za mną wsiada obywatel w uniformie i z ołówkiem. Ale nie bierze kary za moje niewątpliwe choć nie zamierzone wykroczenie. Prawi morały. Chce mnie koniecznie zmusić do dialogu, który mnie wcale nie bawi, w którym on byłby górami. Więc peroruje, zapala się krasomówczo. A ja milczę jak żona Lota.

Nie po to przytaczam te dyktetyki, by przyczepiać łutki milicjantom lub innym funkcjonariuszom. Co do milicjantów na przykład, mam dla nich, ogólnie biorąc, wiele szacunku, nawet podziwu; widuję ich w rozmaitych okolicznościach, trudnych, uciążliwych,

niewdzięcznych. Imponują mi często swoją bezinteresowną, niekoniecznie i nie zawsze z regulaminu wynikającą troską o innych. Ale dlaczego jeden i drugi musi od czasu do czasu wyżyć się w werbalnej interwencji, dać upust swoim interwencyjno-dydaktycznym skłonnościom? Temat stary jak Sarmacja.

Przeszedłem jezdnię w niewłaściwej szerokości geograficznej — dobra, karz, bierz mandat, ba, aresztuj, jeśli będę stawiał opór — ale się nie wymydrzaj. Tak na ogół robią wszędzie indziej stróż porządku. Zie mi świeci „stop” (twoim zdaniem), nabieram MPK na 50 groszy — karz, egzekwuj, rób co do ciebie należy, ale nie bądź księdzem Skargą ani Rejtanem. A może nie jesteś pewien, czy ja rzeczywiście nabieram, wykraczam, przestępuję? Może nie jesteś pewien, czy z tym wagonem bez konduktora to nie nonsens (bo jeden wagon pusty a pozostałe jak winogrona), może nie wierzysz do końca w swoją formę i na rację? W takim razie — zreflektuj się. Nigdy refleks nie bywa gorszy niż hataśliwa interwencja nie doprowadzona do końca. Tak jest w każdej sprawie.

A może to jest nasza cecha narodowa, ta niezdolność do refleksji przed interwencją? Może to jest sarmatyzm? Wcale nie. To jest kwestia kultury bycia. I tylko tyle.

• • • • •
nad

Radziecki notatnik kulturalny

dla jednej z wytwórni hol-woodzkich. Główne role w tym filmie powierzono Zofii Loren i Maksymiliano wi Schellowi.

Pisarz angielski John B. Priestley przebywał ostatnio miesiąc w Związku Radzieckim. Na zapytanie red. „Gazety Literackiej” o wrażenia ze swego pobytu, odpowiedział między innymi: „Zdumiewa mnie, szczególnie w republikach południowych ogromna popularność poezji. Na przykład w Taszkencie telewizorzy żądają częstszych występów poetów. Uznałbym to za cud, gdyby tego samego zażądali telewidzowie w moim kraju”.

Aleksander Sołżenicyn to autor znakomitej powieści „Dzień Iwana Denisowicza” (w przekładzie polskim drukuje ją „Polityka”) poświęconej życiu w obozach karanych, istniejących na terenie ZSRR w okresie Stalina. Debiut ten przyniósł 44-letniemu autorowi zasługę sławę i rozgłos. Miesiąc „Wieżniowie” z Altony” zapowiada druk dalszych utworów te-

go autora, a mianowicie dwóch opowiadań: „Na stacji Kreczetowska” i „Zagroda Matrony”. Tematem pierwszego z nich jest zdarzenie z jesieni 1941 roku na stacji kolejowej Kreczetowska, kiedy to wartownik zastrzelił więźnia z transportu tak zwanych „okrużniców”, to jest żołnierzy, którzy przez pewien czas znajdowali się w okrajeniu niemieckim, a kiedy wyrwali się stamtąd, zostali aresztowani pod zarzutem zdrady ojczyzny. Drugie, poświęcone życiu wsi, jest podobno utworem wprost doświadczeń artystycznych, stojącym znacznie wyżej niż „Dzień Iwana...” W Moskwie oczekuje się z wielkim zainteresowaniem na te publikacje.

Na język estoński zostały dotychczas przetłumaczone utwory następujących autorów polskich: „Pierwszy dzień wolności” Kruczkowskiego, nowela Iwaszkiewicza, Andrzejewskiego, nieletniemu autorowi zasługę sławę i rozgłos. Miesiąc „Wieżniowie” z Altony” zapowiada druk dalszych utworów te-

stwo A. Fiedlera, którego „Kanada pachnąca żywica” w nakładzie 30 tys. rozeszła się błyskawicznie.

Dyrektor „Mosfilmu” Surin w wywiadzie dla „Prawdy”, przedstawił plan produkcji na rok 1963. „Mosfilm” zrealizuje w bież. roku ponad sto filmów fabularnych. Wiele poświęconych będzie wydarzeniom Wielkiej Rewolucji Październikowej i działalności W. Lenina. Planuje się realizację filmu pt. „Pokój brzeski”.

Powieść J. Bondariewa „Cisza” („Tiszina”), to jeszcze jedna pozycja literacka stanowiąca rozprawę z kultem jednostki. Została ona życiowo przyjęta przez czytelników, ale — jak pisze Konstanty Paustowski na łamach „Izwiestii” — znalazła się i tacy, którzy powitali powieść z bardzo kwaśną miną. Waga powieści Bondariewa polega właśnie na tym, udowadnia Paustowski, że autor z gniewem i głębokim bólem mówi, iż nie mamy prawa zapominać i przebaczać. W imię naszej przyszłości, w imię szczęśliwego życia... „Cisza” idzie właśnie naprzeciw tym dążeniom — kończy K. Paustowski.

Zebrał:
J. R.

Janusz przysiadł do pianina i spod jego palców popłynęła Barkerola z „Opowieści Hoffmana”. Przy dźwiękach melodii Offenbacha, Włodzimierz spoglądał na wszystko, co znalazło się w jego polu widzenia. Uśmiech zadowolenia opromienił jego twarz na widok własnego portretu umieszczanego w poczesnym miejscu na ścianie, i w tym pokoju nie dostrzegł żadnego przedmiotu, który mógł mieć jakikolwiek związek z Barbarą. Przysiadł przed regałem wypełnionym książkami. Na książkach górnej półki zauważył duży, owalny obraz przewiązany czarną wstążką. Sięgnął po niego i zobaczył na nim twarz nieznanego mężczyzny. Błyskawicznie skierował wzrok w miejsce swego portretu. Dopiero uważniejsze spojrzenie pozwoliło odkryć ciemniejszy owal od ścian. Fakt ten zaintrygował Włodzimierza.

Janusz grał Barkerolę.

— Dawno tak wspaniale nie grałeś, Januszu — powiedział matka wchodząc do pokoju. — To ulubiona melodia Baśki. Przeżyliśmy ciężkie dni — rzekła z westchnieniem, siadając na-

Dokończenie na str. 4

Jerzy Buszkiewicz

Przeciwno zagraconej witrynie

Poniżej zamieszczamy drugą część (pierwsza ukazała się w „Głosie Tygodnia” z dnia 27. I. br.) wypowiedzi mgr. inż. Jerzego Buszkiewicza na temat, który poruszyliśmy swego czasu w artykule dyskusyjnym pt. „Budujmy taniej”.

Celem inwestycji mieszkaniowych jest stworzenie określonych wartości użytkowych. Normatyw określa dolne i górne granice powierzchni dla każdej kategorii, tzn. poziom zaspokojenia potrzeb w zakresie przestrzeni mieszkalnej i użytkowej. Po takim stwierdzeniu dotarliśmy z punktu do miejsca bardzo drażliwego. Różnie bowiem można interpretować określenie zaspokojenie potrzeb. Jeżeli założymy, że wszystkie elementy mieszkania zostaną rozwiązane w sposób racjonalny, to możemy śmiało przyjąć zakres minimum jako punkt wyjściowy zaspokojenia potrzeb. Droga do tego celu wcale nie będzie wiodła w kierunku projektowania większych mieszkań. Małe wystarczy, pod warunkiem, że zrobimy rewolucję w czterech ścianach.

*

W każdym mieszkaniu istnieje zespół funkcji użytkowych nadających się do stypizowania ze względu na zasadnicze podobieństwo w wykonywaniu czynności przez duże grupy użytkowników. Jednocześnie określonym celem służyć np. łazienka i kuchnia. W zakresie wymagania użytkowników są one najbardziej powtarzalne. Krótko mówiąc nadają się znakomicie do utypowania.

Tymczasem zaraz po tym służyć przykładem, na 68 aktualnie umieszczonych budynków typowych w katalogu KB4 nie ma 2 równych kuchni.

No co? Nie można wyskoczyć z butów?

Czy Pan wie, Redaktorze, że wynik kilkuset ankiet przeprowadzonych przez Instytut Budownictwa Mieszkaniowego, przeszedł pojęcia zdrowego rozsądku? Zajęcie powierzchni mieszkalnej przez meble w nowych mieszkaniach małego typu, u inteligencji wynosi 53 proc., a

w mieszkaniach robotniczych 49 proc.?

Liczyby te zostawiam bez komentarza.

A przecież można dokonać prób ustalenia wielkości potrzeb w zakresie meblowania mieszkań różnego typu, można ustalić prawidłowości występujące w nich, nawet w oparciu o najmniejsze powierzchnie normatywu.

Jest jedno ale! Trzeba dostosować rozmiary gabarytowe mebli do wielkości mieszkań, natomiast ich liczba

Budujmy taniej!

i wielkość powinna być funkcją wynikową przeciętnego stanu posiadania. Nie tylko to, są pewne czynności w mieszkaniu jak np. praca, wypoczynek, jedzenie, wymagające zgrupowania kilku mebli, które też nie mogą zajmować wielkiej powierzchni. A meble do spania, odgrywające podstawową rolę! Łóżko, o ile wiadomo, zajmuje 1,8 m², co przy normie powierzchni mieszkalniowej 6 m² na 1 osobę wynosi 30 proc. Używane w nocy, przez pozostałe 16 godzin na dobę jest zaważką w mieszkaniu.

No tak! Gdyby Panu dołożył jeszcze do tych kilku uwag wnioski wynikające z analizy bilansu czasu potrzebnego na wykonanie różnych czynności w okresie przebywania w mieszkaniu, doszliśmy do wniosku, że albo zmienimy cały system kryteriów dotychczasowego projektowania elementów i funkcji w mieszkaniu, albo będziemy budować dalej na zawiązanych powierzchniach normatywnych. Bo właściwie, nam potrzeba wykonywanych fabrycznie serii mebli mieszkaniowych, stypizowanych, zapewniających optymalną kombinatorykę w zestawianiu, przy minimalnej liczbie elementów. Zastępca kierownika Wydz. Ekonomicznego KC PZPR Jerzy Bogusz

na naradzie SARP nad zagadnieniami typizacji w budownictwie w swoim referacie kierunkowym podał taki przykład:

„Arch. H. Skibniewska podała niedawno dane opracowane dla spółdzielczego osiedla „Sady” w Warszawie. Obecny koszt mebli wbudowanych wykonanych przez przedsiębiorstwo budowlane, łącznie z montażem i transportem wynosi 9-12000 zł; terenowy przemysł meblarski obliczył koszt wykonania tych samych mebli na 3.200 zł; Zakłady Przemysłu Drzewnego w Olsztynie podały koszt wykonania na 2500 zł, z dającą zamówienia serii co najmniej 10000 sztuk, tj. ilości zapewniającej 3-tygodniową produkcję”.

A kto wyciągnął z tego wnioski? Może DBOR — generalny inwestor budynków mieszkalnych, a może Zjednoczenie Przemysłu Meblarskiego? A może po prostu nikogo to nie obchodzi. Aż miło się robi na samą myśl, jak byśmy mogli dobrze mieszkać, nawet w tych małych mieszkaniach. Potrzeba tak niewiele. Trochę dobrej woli, a jeśli jej brak, mały nacisk administracyjny. Wyrzucić kosztujące sporo ściany działowe, zastąpić je segmentowymi meblami i dobrymi modularnymi zestawami mebli wbudowanych, zostawiając możliwość stałego przekształcania mieszkania w zależności od potrzeb i przyzwyczajenia jego użytkowników.

Mieszkanie musi się stać żywym organizmem, a nie zagraconą witryną.

*

Nie wypada pisać bez optymistycznego zakochania. Niech wolno mi będzie przypomnieć, że w lutym 1961 r. rozstrzygnięto konkurs na tanie, segmentowe meble do mieszkań M4. Dał interesujące rezultaty. Wymodelowano prototypy. Urządzono wystawę. Nawet pozwolono zwiedzającym wpisywać swoje entuzjastyczne opinie. I na tym sprawie zakończono. Seryjnej produkcji jakoś nie widać.

No tak, bo znówu DBOR to nie nie obchodzi (nie ma obowiązujących zarządzeń), a handel woli zwiększać swoje planowe obroty drogim, na wysoki połysek, kupowanym z braku innych asortymentem.

Tym razem chyba mamy naprawdę dosyć tych błyszczących, wielkich i niecelowych mebli. Najwyższy czas, by były komplety, którymi architekt będzie mógł na małych powierzchniach rozwiązywać mieszkania tańsze, a przynoszące ludziom radość i zadowolenie.

*) Jerzy Bogusz — Zadaną inwestycję w budownictwie w najbliższej pięcioletce 1961-1965. Środki i metody ich realizacji. Referat na seminarium SARP, Warszawa 1961.

na lzy Baški, spieszyła się. Imponował ślub z tradycją, a każdą sprawę trzeba do końca przemysleć — przerwał Janusz.

Matka nie zwracała uwagi na słowa syna, mówiła dalej:

— Zięć wracając motocyklem z jakiejś libacji, zabił się — wpadł w twarz Włodzimierza, jak gdyby chciała zbać jego reakcję.

— Przykre — rzekł tylko Włodzimierz.

Po dłuższej chwili milczenia, matka dodała ciszej:

— Zabił się razem z dziewczyną... Tak, panie Włodku, życie jest skomplikowane, ale nie tylko ja ponoszę winę, jak to mówi Janusz. Dziś może

znalazłabym siłę, by zadecydować inaczej. W miasteczku ludzie też już inaczej myślą. Lzy położy się po matki policzkach, chwyciła Włodzimierza rękę w swoje dłonie i znów mówiła:

— Włodku, jesteś rozsądnym człowiekiem, może dałoby się wszystko naprawić? Ożenisz się z Basią?

Włodzimierz zbladł. Zapalił papierosa i obracał w palcach pudełko z zapalnikami.

— Bardzo panią przepraszam, — powiedział z szacunkiem — zrobiłem wielki błąd, nie powiadomiwszy pani zaraz po przybyciu tutaj, że jestem żonaty. Szanuję się z żoną, nasz syn skończył roczek...

Janusz grał Barkarolę.

FELIKS SIEMIANKOWSKI

Eugeniusz Pauksztą

Wielkopolska i Nadodrza

W wyniku trudu badawczego i „mudnej pracy poznawskiego ośrodka naukowego ukazały się ostatnio dwie szczególnie cenne pozycje. Pierwsza z nich ukazała się nakładem Instytutu Zachodniego w Poznaniu. Jest to opracowana przez Feliksa Czarnieckiego potężna „Bibliografia Ziem Zachodnich 1945-1958”, przynosząca pełny wykaz wszystkich publikacji (poza literaturą piękną), jakie ukazały się po Wyzwoleniu w odniesieniu do złożonej problematyki Nadodrza i Północy. Przejrzysty podział materiału, uszeregowany według regionów, uzupełniony skróconymi autorów, sprawia, iż z tej tak niesłychanie potrzebnej pracy korzystać będzie mógł nie tylko naukowiec, ale każdy działacz społeczny i kulturalny.

Nawiasem trzeba dodać, że dopiero przy okazji wydania bibliografii można ocenić olbrzymi nasz dorobek w zakresie publikacji związanych z problematyką zachodnią. Poza „Pamiętnikami osadników Ziem Odzyskanych”, także w opracowaniu Zygmunta Dulczewskiego i Andrzeja Kwileckiego ukazała się w Wydawnictwie Poznańskim inna książka, mianowicie tom pt. „Społeczeństwo wielkopolskie w osadnictwie Ziem Zachodnich”, pierwsza również poważna próba ukazania wkładu naszego regionu w akcję przesiedleńczą na Ziemi Zachodniej, a więc zarówno sprawa samych migracji ludnościowych, jak udział w tym dziele władz, instytucji, organizacji. Praca wspiera się o materiał źródłowy i przynosi szczegółową dokumentację opisujących zagadnień. Należy bardzo się cieszyć, że tak ważny odcinek działalności Wielkopolan nie uległ zapomnieniu.

Wydawnictwo Poznańskie opublikowało także inny dokument, studium Wiktora Lemiecha „O pracy niewolniczej na Ziemi Lubuskiej w latach II wojny światowej”, przedstawiającej sytuację wielotysięcznej rzeszy robotników i jeńców, przebywających w czasie wojny na obszarach stanowiących dziś województwo zielonogórskie. Autor sięgnął przede wszystkim do materiałów hitlerowskich, dopiero później uzupełnił wiadomości zapisem zeznań osób prywatnych. W ten sposób ukazany został jeszcze jeden wykład zbrodniczej działalności hitlerizmu na ziemiach polskich.

Ukazał się nakładem „Śląska” kolejny tom cyklu antologii literackich, ukazujących historię Ziem Zachodnich i Północy. Jest to wybór tekstów literackich związanych z Dolnym Śląskiem.

„W kręgu Sobótki” wydane zostało bardzo staranne, a opracowanie Antoniego Olchy zjednoczone sumiennością. Dopiero w takim zestawie można zobaczyć, jak bogaty już jest udział literatury w kształtowaniu przez wieki polskiego oblicza Nadodrza. Korzystając z okazji chciałbym zalecić pracę o szerszym już historycznym zasięgu, wydany ślicznie nakładem „Polonii” „Zarys historii Polski” Stanisława Arnolda i Mariana Zychowskiego, syntetyczny, przystępny, bogato urozmaicony ilustracjami wykład naszej historii od początków państwowości aż po ostatnie lata.

Coraz też więcej ukazuje się dzieł, uzbogacających wiedzę o

ty tak bliskich nam sprawach własnego regionu. Z narastającym zaniepokojeniem prze studiowałem wy-

daną przez Polskie Towarzystwo Historyczne, oddział w Poznaniu, pracę Witolda Maisela „Sądowictwo miasta Poznania do końca XVII wieku”. (Praca nagrodzona II nagrodą miesięcznika „Państwo i Prawo” w konkursie prac doktorskich). Obawiałem się suchego, rzeczowego wykładu, a tymczasem znalazłem rozprawę, w której autor obok masy informacji i komentarza, umiał zmieścić sporo ciekawostek o realiach epoki, o jej rysach obyczajowych, ukazując w sumie panoramiczny obraz średniowiecznego Poznania.

„Ossolineum” wydało ze swej strony „Dzieje sceny kaliskiej” Stanisława Kaszyńskiego, obejmujące historię jednej z najciekawszych w kraju inicjatyw teatralnych w latach 1800-1914. Co za plejada znakomości, nie tylko wsława Bogusławski, wiele wspomnień osiągnięć, jakie ambicje przedowania w życiu teatralnym kraju, ambicje często realizowane. I co za bogactwo szczegółów, anegdoty, jaka panorama nazwisk, z najznamienitszymi łącznie — naprawdę, współczesny teatr kaliski ma bogatą tradycję, o którą może wesprzeć swą dzisiejszą działalność.

I na zakończenie przeglądu rewelacja albumowa, pieczołowicie przez „Arkady” wydany album „Fotografika” Edwarda Hartwiga, w którym nie widać co bardziej podziwiać, artysty czy techniczną maestrię. I drugi album Adolfa Ciborowskiego i Stanisława Jankowskiego „Warszawa odbudowana” (Wyd. „Polonia”), świetne w pomysłach fotograficzne ukazanie obrazu poszczególnych fragmentów stolicy z roku 1945 i 1962. Jest nad czym pomyśleć i nacieszyć sumą dokonań w przyporządkowaniu stolicy należnej jej świetności.

Jak odebrać Śląsk!

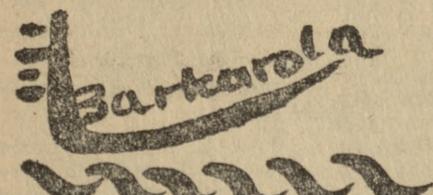
Przed dwoma tygodniami omawialiśmy w naszym przeglądzie artykuł (Życie Gospodarcze) Wiesława Szynkiewicza-Głowackiego pt. Dlaczego Śląsk się zatkał. W najświeższym numerze Życia Gospodarczego znajduje się drugi z kolei artykuł tego samego autora pt. Jak odebrać Śląsk. W artykule mowa o sposobach usunięcia trudności komunikacyjnych na szlaku: Śląsk — reszta kraju. Zdaniem autora należy szybko usunąć dysproporcje między siłami rosnącymi zadaniami przewożymi a techniczno-organizacyjnymi możliwościami kolejnictwa i innych służb transportowych. Jak tego dokonać?

„Na drodze (...) usprawnień organizacyjnych, inwestycji kolejowych i rozwoju transportu samochodowego — na dłuższą metę nie da się wszystkiego rozwiązać, a jedyną koncepcją naprawdę radykalną „odebrania” górnośląskiego transportu, jest — jak na razie — pisana palcem na wodzie i nie ma pewności co z tego wyjdzie (mowa o zbudowaniu rurociągów do transportu węgla) natomiast na pewno wiadomo, że produkcja górnośląskiego przemysłu będzie szybko rosła, a więc szybko będą też rosły transportowe zadania i trudności”.

Tak więc sytuacja jest trudna, o czym przekonujemy się szczególnie teraz w okresie mrozów, odczuwając brak węgla, którego transport wymaga olbrzymiej ilości środków komunikacyjnych. Zobaczymy po jakie środki sięgnie komisja, która — na mocy wrześniowej uchwały KERM — ma zająć się programem usprawnienia i rozwoju górnośląskiego transportu. Dotychczas jednak komisja ta jeszcze nie przystąpiła do pracy.

Pozwólcie, że zakończę dzisiejszy przegląd hasłem tygodnia umieszczonym w Szpilkach: „Oszczędzaj światło — nie świeć oczami!”

LEKTOR

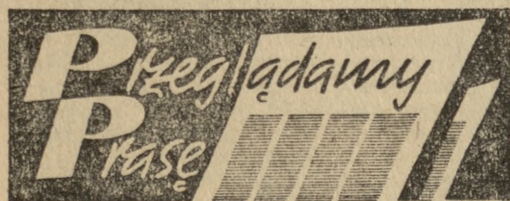


Dokończenie ze str. 3

przeciw Włodzimierzowi. — Basia jest teraz sama, straciła męża w tragicznych okolicznościach. To małżeństwo nie było szczęśliwe od początku...

Tony muzyki ucichły.

— Mamo, zostaw tę sprawę, dziś za późno na żale, wtedy nie byłaś czuła



Król węgla

To tytuł artykułu Zygmunta Szeligi zamieszczonego w Polityce. Temat bardzo aktualny i bardzo interesujący. Nasze kłopoty węglowe wynikają bowiem nie tylko ze złej sytuacji atmosferycznej, lecz sięgają korzeniami głębiej; mają swoje historyczne i ekonomiczne uzasadnienie. Co prawda od tego — jak pisał Polityka — nie będzie ciepło, ale dobrze wiedzieć.

Autor omawia dość szczegółowo wydobycie, eksport i krajowe zużycie węgla kamiennego. Omawia też perspektywy wydobycia tego cennego surowca. Ale:

Od lat umacnia się w naszym kraju przeświadczenie o tym, że węgle mamy obfitość. Ma to swoje ujemne strony. Bo skoro tego narodowego skarbu jest nadmiar, to nie trzeba się o niego troszczyć, nie trzeba oszczędzać... i to jest też jednym ze źródeł naszych trudności”.

Czytelnicy zapewne nie wiedzą, że w bilansie paliw dla elektrowni węgiel kamienny utrzymuje pozycję dominującą. Co prawda już pod koniec 5-letki dzięki elektrowniom w Turowie i w rejonie Konina będziemy uzyskiwać dużo energii z węgla brunatnego. Mimo to również w następnych latach trzeba dostarczać energetyce 20-25 mln. ton węgla kamiennego rocznie. A gdzie chemia, gdzie kolej, hutnictwo, inne gałęzie przemysłu, gdzie eksport, gdzie wreszcie stare poczwierne piecyki? Słuszny więc jest apel autora:

„Mimo że „król węgla”, że obfitość, że szóstą miejsce w świecie, wielkim głosem wołam: więcej szacunku dla króla...”.

Rekordowe mrozy

Interesujący artykuł Reginy Biernackiej pt. Najstarsi ludzie nie pamiętają! zamieszcza Tygodnik Demokratyczny. Autorka pisze:

„Ktoś, kto nie pamięta jak żyje tak ostrej zimy, musiałby żyć dosyć krótko. Bowiem podobną zimę mieliśmy w roku 1947, a jeszcze ostrzejsze w latach 1940 i 1929. Były to trzy najcięższe zimy naszego stulecia. Zaś trochę lżejsze, ale też „prawdziwe”, przypadały na lata 1922, 1941, 1942, 1954, 1956”.

W artykule znajdujemy interesujące cytaty z gazet tamtych roczników. Oto fragment relacji z Tygodnika Ilustrowanego nr 10 z 1929 roku:

„W sobotę dnia 16 lutego odkopano po kilkudziesięciu wysiłkach pociąg osobowy pod Mszaną, który stał tam w długiej, dwukilometrowej górze zamary, zimny i ciemny... Gdy ratownicy dostali się wreszcie do uwieczonych, działali się sceny okropne. Kilka kobiet zemdlalo, jedna dostała pomieszczenia zmysłów... Prócz pociągu odkopano stacje, miasta całe. Tak „zdołano” sześć dni odcięty od świata Tarnopol”.

Siedem polskich grzechów głównych

Na marginesie głośnej książki Zbigniewa Załuskiego pt. Siedem polskich grzechów głównych Krzysztof Teodor Toeplitz publikuje w Przeglądzie Kulturalnym artykuł pt. Tradycja za tradycją. Zdaniem KTT książka Załuskiego ma kilka aspektów, z których najważniejszym jest odsłanianie prawd historycznych:

„Autor przyjął za punkt wyjścia parę najgłośniejszych absurdów, obrosłych legendą i przełansowanych na grunt mitologii literackiej, takiej, jak na przykład zdobywanie przez Głowackiego „gotymi rękami” moskiewskich dział, przysyłający skok księcia Józefa do Elstery, szarża pod Somosierrą lub rzekoma szarża ułanów na czołgi w 1939 roku

i postarał się o ukazanie tych faktów i legend w świetle prawdy historycznej”.

Ale KTT ma również do Załuskiego dużo pretensji: oto, że roi się w jego „Grzechach” o sprawy oczywiste, o to, że książka jest utworem demagogicznym w swoich chwytach i sugestjach, o to wreszcie, że wzór pedagogiczny, postulowany przez Załuskiego, jest dziś już mocno przestarzały.

„Jakiż, poza czysto wspomnikowym charakterem, może mieć sens wywlekanie wojennych zasług i bohaterstw, tych najdawniejszych, dawnych, i zgola niedawnych? Myślę, że najrozsądniej jest oddać im szacunek, poróżdzić, komu trzeba, krzyże i medale zając się po prostu wychowywaniem przyszłych pokoleń dla przyszłości”.

Chyba zbyt osra ocena zmuszającej do refleksji książki Z. Załuskiego.

Kadry kontra życie

Pod takim tytułem publikuje Tygodnik Kulturalny artykuł Bogusława Pepela. Rzecz o tyle zasługująca na omówienie, że dotyczy naszego województwa. Autor rozpoczyna od stwierdzenia, iż:

„We wsi Święciechowa pod Leszmem — blisko 400 rodzin, 1800 mieszkańców, 20 telewizorów i trzy prywatne samochody osobowe (...) Potrzeba pięciu wykwalifikowanych traktorzystów, dwóch księgowych do Kółka Rolniczego i spółdzielni produkcyjnej. GRN potrzebuje co najmniej czterech kwalifikowanych pracowników administracyjnych, a GS ok. 20 z wykształceniem średnim. W PGR oczekuje się na kompetentnego kierownika i brygadiera. Spółdzielnia wychowa piskląt czeka na zootechnika. W ośrodku zdrowia potrzeba lekarzy i fachowych pielęgniarek”...

Rejestr potrzeb jednej wsi można by jeszcze długo kontynuować. I co z tego? Przecież niewiele kilometrów od Święciechowy leży Leszno, gdzie kształcą się olbrzymią większość potrzebnych w Święciechowie fachowców. A jednak trudno ich ściągnąć. Dlaczego tak się dzieje?